

Strandberg to szwedzki Stephen King.
Potrafi stworzyć świat, który wydaje się zupełnie normalny,
ale od początku wiadomo, że za sekundę coś nas zaskoczy.
I ta niespodzianka będzie naprawdę bolesna.
„Weekendavisen”

PRZEKŁĘTY PROM

MATS STRANDBERG

MARGINESY



**PRZEKŁĘTY
PROM**
MATS STRANDBERG

Przełożyła
DOMINIKA GÓRECKA

MARGINESY

Do wypłynięcia promu ma prawie godzinę. Ciągłe jeszcze może się rozmyślić. Ciągłe jeszcze może chwycić walizkę i pociągnąć ją najpierw przez terminal, a potem wzdłuż wybrzeża, zjechać do metra, wysiąść na Centralen i wrócić do domu, do Enköping. Spróbować zapomnieć o całym tym idiotycznym pomysle. Być może kiedyś będzie się nawet potrafiła śmiać na wspomnienie wczorajszego wieczoru, kiedy to siedziała w kuchni, a głosy z radia nie były w stanie zagłuszyć tykania zegara na ścianie. Wypiła o jeden kieliszek riojy za dużo i stwierdziła, że ma dosyć. Wypiła jeszcze jeden i postanowiła, że musi coś zmienić. Chwytać chwilę. Przeżyć przygodę.

Być może kiedyś będzie się z tego śmiać, choć w tej chwili nie jest tego taka pewna. Trudno w samotności śmiać się z samej siebie.

Skąd w ogóle ten pomysł przyszedł jej do głowy? Tamtego wieczoru zobaczyła reklamę w telewizji – elegancko ubranych ludzi, którzy wyglądali zupełnie zwyczajnie, tylko jakby bardziej radośnie niż inni. Ale to przecież żaden powód. To nie w jej stylu.

Bilet zarezerwowała szybko, żeby się nie rozmyślić. Była tak podekscytowana, że ledwo udało jej się zasnąć, chociaż piła wino. To uczucie utrzymywało się przez całe przedpołudnie, kiedy farbowała włosy, i przez całe popołudnie, kiedy się pakowała, i jeszcze przez całą drogę tutaj. Tak jakby przygoda już się rozpoczęła. Tak jakby ona mogła uciec przed samą sobą, uciekając przed codziennością. Teraz patrzy na swoje odbicie w lustrze, głowa jej ciąży, jakby była z ołowiu, dogonił ją niepokój jak zwiłokrotniony kac.

Pochyla się i wyciera resztki rozmazanego tuszu do rzęs. W niebieskawym świetle jarzeniówek damskiej toalety w terminalu worki pod jej oczami wyglądają okropnie. Robi krok do tyłu. Przeczesał palcami ścięte na praktycznego pazia włosy. Ciągłe jeszcze czuje zapach farby do włosów. Sięga do torebki po szminkę i wprawnym ruchem poprawia usta. Na koniec cmoka do swojego odbi-

Färjan

COPYRIGHT © Mats Strandberg 2015

BY AGREEMENT WITH GRAND AGENCY, SWEDEN AND BOOKLAB, POLAND.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Dominika Górecka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

WARSZAWA 2017

cia w lustrze. Odpycha ciemny obłok, który próbuje ją wypełnić i pochłonąć.

W jednej z kabin za jej plecami ktoś spuszcza wodę, otwiera ją się drzwi. Marianne prostuje się, wygładza bluzkę. Musi wziąć się w garść. Z kabiny wychodzi młoda ciemnowłosa kobieta w jaszkraworóżowej bluzce bez rękawów i staje przy umywalce obok. Kobieta ma gładkie ramiona, mięśnie zarysowują się lekko pod skórą, kiedy myje ręce i sięga po papierowy ręcznik. Jest za chuda. Rysy twarzy są kanciaste, mało kobiece. Mimo to wiele osób prawdopodobnie powiedziało o niej, że jest piękna. Lub przynajmniej seksowna. Na jej przednim zębie połyskuje diamencik. Różowe cekiny mienia się na tylnych kieszeniach džinsów. Marianne przyłapuje się na tym, że się gapi, i szybko odwraca wzrok, ale dziewczyna wychodzi z łazienki, nawet na nią nie spojrzawszy.

Zrobiła się niewidzialna. Zastanawia się, jak to możliwe, że ona też kiedyś była taka młoda.

Wiele, wiele lat temu. W innym czasie, w innym mieście. Była wtedy mężatką, miała męża, który kochał ją, najlepiej jak potrafił. Dzieci były jeszcze małe i wciąż wydawało im się, że matka jest kimś w rodzaju półbogini. Miała pracę, w której codziennie dostawała potwierdzenie, że jest potrzebna. I zawsze mogła wpaść do jednego z sąsiadów na kawę.

Może trudno w to uwierzyć, ale czasem Marianne marzyła tylko o tym, żeby pobyć sama. Kilka godzin spędzonych w samotności, by móc usłyszeć własne myśli, wydawało jej się szczytem luksusu.

W takim razie teraz pławi się w luksusie. Luksus to właściwie jedyne, co ma.

Sprawdza, czy na zębach nie widać śladów szminki. Spogląda na stojącą obok niewielką walizkę, podarunek od klubu książki, do którego należy.

Zarzuca na ramię puchowy płaszcz, chwytając mocno rączkę walizki i wychodzi z toalety.

W terminalu panuje gwar. Niektórzy ustawili się już w kolejce przy barierkach; czekają, by wpuszczono ich na pokład. Marianne

się rozgląda. Cielista bluzka i sięgająca kolan spódnica, które ma dziś na sobie, są chyba zbyt sztywne na tę okazję. Większość kobiet koło sześćdziesiątki ubrała się albo jak nastolatki – w dzinsy, bluzy z kapturem, sukienki z głębokim dekoltem – albo schowała w bezkształtnych tunikach i sukienkach przypominających namiot. Ona nie należy do żadnej z tych grup. Wygląda jak sztywna emerytowana sekretarka medyczna, którą zresztą jest. Próbuje dostrzec, że wiele z tych kobiet jest starszych i brzydszych od niej. Ona też ma prawo tu być.

Zauważa bar na końcu korytarza. Kółka walizki hałasują, jakby prowadziła walec po brukowanej nawierzchni.

Przy barze przebiega wzrokiem po błyszczących butelkach i krnach do piwa. Na czarnych tablicach wypisano kredą ceny. Zamawia kawę z baileyssem. Na promie ceny chyba będą niższe. Czy bary są również w strefie wolnocłowej? Powinna była to sprawdzić. Dlaczego tego nie zrobiła? Dziewczyna z połyskującymi kawałkami metalu w wargach i brwiach nie patrzy na nią, podając jej wysoką szklankę z duralexu. Dlatego Marianne bez większych wyrzutów sumienia odchodzi, nie zostawiwszy napiwku.

Zauważa wolny stolik w głębi pomieszczenia pod krótszą ścianą jego przeszkłonej części. Przechodzi ostrożnie między stolikami, ciągnąc za sobą walizkę i niosąc płaszcz podobny do wielkiej puchowej kołdry. Szkło parzy ją w palce. Torebka zsuwa się z ramienia i zatrzymuje na wysokości łokcia. Wreszcie dociera do stolika. Odstawia szklankę. Naciąga torebkę z powrotem na ramię i jakimś cudem zajmuje miejsce, niczego nie straciwszy. Opada wycieńczona na oparcie krzesła. Ostrożnie wypija pierwszy łyk – kawa nie jest wcale aż tak gorąca jak szklanka, więc Marianne pije łapczywie. Czuje, jak alkohol, cukier i kofeina rozchodzą się powoli po jej ciele.

Podnosi wzrok na wyłożony lustrami sufit. Lekko się prostuje. Z perspektywy ptaka nie widać fałd na szyi, skóra na żuchwie naciąga się, dzięki czemu podbródek staje się mniej obwisły. W odbiciu w barwionym na czerwono szkle jej spojrzenie wydaje się

żywsze, a twarz niemal opalona. Marianne przesuwa palcami po kości szczękowej i dopiero po chwili dociera do niej, że ktoś może patrzeć, jak się dotyka. Osuwa się na krzesło, wypija kolejny łyk. Ciekawe, ile jeszcze brakuje jej do tego, żeby ktoś nazwał ją skończoną dziwaczką. Przypomina jej się, jak kiedyś dopiero na przystanku autobusowym zorientowała się, że ma na sobie spodnie od piżamy.

Czarna chmura znów wygląda, jakby miała ją pochłonąć. Marianne zamyka oczy. Docierają do niej śmiechy i urywki rozmów. Po prawej stronie słyszy głośne siorbanie, a kiedy spogląda w tym samym kierunku, zauważa małego Azjatę pochylającego się nad szklanką, w której zostały same kostki lodu. Obok niego siedzi czerwony na twarzy mężczyzna, pewnie ojciec. Przyciska do ucha telefon i wygląda, jakby nienawidził całego świata.

Przez chwilę Marianne żałuje, że rzuciła palenie. Mogłaby teraz wyjść na nabrzeże i zapalić papierosa, miałyby czym zająć ręce. No ale przynajmniej jest tutaj. Pośród tych wszystkich dźwięków. I już wie. Nie, nie jest sobą. Ale ma już serdecznie dosyć bycia sobą.

Nie może wrócić do domu. Przez całe lato siedziała sama w mieszkaniu, nasłuchując śmiechów, głosów i muzyki dobiegających z sąsiednich mieszkań, z balkonów wokół dziedzińca, z ulicy, na którą wychodzą okna kuchni. Dźwięków życia pulsującego wokół. Właśnie w tej chwili w jej mieszkaniu tyka ten cholerny zegar ścienny, a kalendarz ze zdjęciami wnuków, których prawie nie widuje, odlicza dni do świąt. Gdyby teraz wróciła do domu, na zawsze zostałaby sama. Nigdy już nie odważyłaby się na coś takiego.

Nagle orientuje się, że jeden z mężczyzn siedzących przy stole obok uśmiecha się do niej przyjaźnie, próbując uchwycić jej spojrzenie, więc udaje, że szuka czegoś w torebce. Mężczyzna ma wychudłą, zniszczoną twarz i wielkie oczy. I, jak na jej gust, zdecydowanie za długie włosy. Powinna była wziąć ze sobą jakąś książkę. Próbuje znaleźć coś do czytania, wyjmuje kartę pokładową i udaje, że dokładnie ją ogląda. Logo towarzystwa żeglugowego w prawym górnym rogu: nieokreślonego gatunku biały ptak z fajką w dziobie i czapce kapitana.

– Hej, maleńka, siedzisz tu całkiem sama?

Marianne odruchowo podnosi wzrok. Ich oczy się spotykają. Zmusza się, żeby nie odwrócić spojrzenia.

Nie przywidziało jej się, jest zniszczony. Jego jasna dzinsowa kamizelka wygląda na brudną. Kiedyś jednak był przystojny. Marianne potrafi to dostrzec w jego twarzy i ma nadzieję, że ktoś inny potrafiłby to dostrzec u niej.

– Tak – odpowiada i odchrząkuje. – Miałam jechać z koleżanką, ale właśnie się dowiedziałam, że pomyliły jej się dni. Myślała, że chodzi o przyszły czwartek, a ja... pomyślałam, że skoro już mam bilet, to mogę...

Traci wątek i kończy wzruszeniem ramion. Ma nadzieję, że wygląda to nonszalancko. Głos zrobił się skrzekliwy. Pewnie dlatego, że przez ostatnie dni prawie nic nie mówiła. Kłamstwo, które przygotowała sobie w nocy na wypadek sytuacji takiej jak ta, nagle zabrzmiało niewiarygodnie. Mimo to mężczyzna uśmiecha się do niej.

– Przyłącz się do nas, będziesz miała z kim wznieść toast!

Chyba jest trochę wstawiony. Zresztą wystarczy spojrzeć na jego kumpli, żeby stwierdzić, że są w jeszcze gorszym stanie. Dawniej Marianne nawet przez chwilę nie zastanawiała się nad odrzuceniem propozycji od kogoś takiego.

Jeśli się zgodzę, stanę się jedną z nich, myśli. Tyle tylko, że mnie nie stać na wybrzydzenie. Zresztą czy „wybrzydzenie” to nie jest po prostu zawołowane tchórzostwo?

Przecież to tylko jedna doba, upomina się w myślach. Za jakieś dwadzieścia cztery godziny prom dobieje z powrotem do portu w Sztokholmie. I jeśli ta wycieczka okaże się pomyłką, będzie mogła ukryć wspomnienie o niej w głębi swojej duszy, tam gdzie ukryła wiele innych wspomnień, których nie sposób nazwać drogocennymi

– Dobrze – mówi. – Dobrze. Dziękuję. Z przyjemnością.

Krzesło szura głośno o podłogę, gdy przysuwa się do ich stolika.

– Na imię mi Göran.

– Marianne.

– Marianne – powtarza mężczyzna, lekko cmokając. – No, pasuje do ciebie. Jesteś słodka jak cukiereczek.

Na szczęście nie musi na to odpowiadać. Göran przedstawia ją pozostałym. Marianne kiwa głową do każdego po kolei; zapomina ich imiona zaraz po tym, gdy tylko je usłyszy. Są do siebie łudząco podobni. Te same, rozciągnięte na brzuchach, koszule w kratę. Zastanawia się, czy znają się z czasów młodości. Czy Göran zawsze był tym najprzystojniejszym, tym, który przyciągał do nich dziewczyny?

Kawa wystygła i zrobiła się mdła. Zanim Marianne zdążyła ją dopić, jeden z kolegów Görana przyniósł piwo dla wszystkich, również dla niej. Piją. Ona niewiele mówi, ale chyba nikomu to nie przeszkadza. Przestaje wreszcie rozmyślać i znów czuje coraz silniejszy dreszcz ekscytacji. W końcu musi się bardzo pilnować, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem jak jakaś wiejska baba. Gdy jeden z kumpli Görana rzuca kiepski żart, Marianne postanawia spróbować – śmiech brzmi frywolnie i stanowczo za głośno.

Smutne, że tęskniła za czymś tak prostym jak to, by posiedzieć z kimś przy stoliku, być częścią grupy, za niewymuszonym zaproszeniem.

Göran pochyła się ku niej.

– Szkoda, że koleżanka nie dotarła, za to ja miałem niezłego farta – szepcze jej do ucha, a jego oddech jest ciepły i wilgotny.

Siedzi, podpira głowę dłońmi i gryzie słomkę. Wciąga resztkę roztopionej wody z dna szklanki, głośno przy tym siorbiąc. Woda nie ma nawet smaku coli, jakby pił ślinę kogoś, kto przed kwadranssem wypił colę. Chichocze pod nosem. Lo spodobałby się ten dowcip. Ale Lo jeszcze tu nie ma.

Patrzy przez szyby na tych wszystkich obcych ludzi poruszających się po terminalu. Zauważa chłopaka ubranego w damskie ubrania, z twarzą umazaną szminką. Na jego szyi wisi kawałek kartonu z napisem „Całus za 5 koron”. Koledzy nagrywają go na komórki, ale po ich śmiechu można poznać, że nie bawią się najlepiej, nie naprawdę. Albin znowu wciąga wodę przez słomkę, rozlega się głośne siorbnienie.

– Abbe – mówi mama. – Proszę cię.

Patrzy na niego w sposób, który oznacza, że tata i bez tego jest mocno zirytowany. Nie pogarszaj tego. Albin odchyła się na krześle. Próbuje być spokojny.

Dobiega go czyjś śmiech, podobny do szczekania psa. Albin patrzy w tamtym kierunku i zauważa dwie grube dziewczyny siedzące kilka stolików dalej. Ta, która się śmieje, ma włosy spięte w kitki i coś różowego i puszystego wokół szyi. Odchyła głowę i wrzuca do ust garść orzeszków ziemnych. Kilka ląduje między jej piersiami, największymi jakie Albin kiedykolwiek widział na żywo. No i ta spódniczka... tak krótka, że prawie niewidoczna.

– Po co jej komórka, skoro i tak nigdy jej nie włącza? – syczy ojciec, z hukiem odkładając telefon na stół. – Cała moja siostrzyczka.

– Spokojnie, Mårten – mówi łagodnie mama. – Przecież nie wiemy, dlaczego się spóźniają.

– No właśnie, nie wiemy. Tak jakby Linda nie mogła się odezwać, żebyśmy się, kurwa, nie musieli zastanawiać, gdzie są. To się nazywa brak szacunku. – Ojciec odwraca się do Albina. – Na pewno nie masz numeru do Lo?

– Nie mam, przecież mówiłem.

Przykro mu, że znów musi głośno się do tego przyznać. Lo nie podała mu swojego nowego numeru. Nie rozmawiali od prawie roku. Od kiedy przeprowadziła się do Eskilstuny, pisali do siebie zaledwie parę razy. Martwi się, że Lo jest na niego o coś zła, o coś, co musi być nieporozumieniem. Mama tłumaczy, że Lo ma pewnie dużo pracy w szkole, bo nauka nie przychodzi jej tak łatwo jak jemu, a w szóstej klasie jest tylko coraz trudniej i trudniej, ale tłumaczy to tym samym tonem, którego używała wtedy, kiedy próbowała mu wmówić, że w szkole dokuczają mu tylko z zazdrości.

Przecież on wie, jak jest naprawdę. Nie ma powodu, żeby ktoś mu czegoś zazdrościł. Możliwe, że w dzieciństwie był śliczny, ale nie teraz. Jest najniższy w klasie, wciąż ma głos cienki i piskliwy, nie odnosi sukcesów w żadnym sporcie ani w niczym innym, w czym powinni być dobrzy chłopcy, żeby stać się popularni. To fakt. Podobnie jak faktem jest, że Lo nie przestałaby się odzywać, gdyby coś się nie stało.

Lo jest nie tylko jego kuzynką. Kiedy jeszcze mieszkała w Skultunie, była jego najlepszą przyjaciółką. Potem jednak ciotka Linda postanowiła, że się przeprowadzą, i Lo nie miała wyboru, musiała z nią pojechać.

Nikt nie umiał rozśmieszyć go tak jak ona. Z jej żartów śmiał się tak, że dostawał napadu paniki, bo miał wrażenie, że nie będzie mógł przestać. Lo powiedziała mu też prawdę o śmierci babci. Płakali razem, bo przecież nie ma nic smutniejszego niż samobójstwo. I choć nigdy by się do tego nie przyznał, lubił płakać, kiedy była przy nim Lo. Nareszcie było coś, co mogli dzielić, w odróżnieniu od tego wszystkiego, o czym on nie potrafił rozmawiać nawet z Lo.

– Nie, Stello – dochodzi go gdzieś z tyłu zduszony głos mężczyzny. – Nie rób tak, Stello. Chcesz się położyć, kiedy wejdziemy na pokład? Chcesz, Stello?

Odpowiada mu pełne złości wycie.

– Przestań, proszę. To nie jest śmieszne. Stella! Nie, powiedziałem. Nie, Stello, nie rób tak. Stello, proszę cię.

Stella znów wyje. Słysząc brzęk tłuczonego szkła. Albin widzi, że tata jest coraz bardziej zdenerwowany, a mama coraz bardziej wystraszona, że tata zaraz zrobi scenę. Zauważa dobrze mu znane drgnienie w kąciku oka. Skrzypnięcie w karku, kiedy tata opróżnia kufel z piwem i robi się jeszcze bardziej czerwony na twarzy.

– Może stoją w korku – zastanawia się mama. – O tej porze ludzie wracają z pracy.

Zastanawia się, dlaczego mama po prostu nie zamilknie. Kiedy tata jest w tym nastroju, nie da się go uspokoić. Można go tylko jeszcze bardziej zdenerwować.

– Powinniśmy byli po nie podjechać – mówi. – Choć pewnie wtedy Linda zrobiłaby wszystko, żebyśmy się spóźnili.

Obraca w dłoniach kufel z piwem. Ma gardłowy, lekko niewyraźny głos.

– Na pewno zdąży – stwierdza mama, zerkając na zegarek. – Nie chce zawieść Lo.

W odpowiedzi tata tylko parska. Mama nie odzywa się więcej, ale i tak jest za późno. Cisza między nimi gęstnieje, aż trudno oddychać. Gdyby byli w domu, Albin poszedłby na górę do swojego pokoju. Chce właśnie powiedzieć, że musi wyjść do toalety, kiedy tata odsuwa krzesło i wstaje.

– Abbe, chcesz jeszcze jedną colę? – pyta.

– Dziękuję.

Tata idzie do baru.

Mama odchrząkuje, jakby chciała coś powiedzieć. Może coś o dzisiejszej nocy. Że tata był po prostu wyjątkowo zmęczony. Ma dużo pracy. I że ona potrzebuje tyle pomocy, że on nigdy nie może odpocząć. Ale Albin nie chce tego słuchać. Zmęczony, nienawidzi słowa zmęczony, to ich słowo wytrych na określenie wszystkiego co trudne. Ojciec zawsze jest taki, zwłaszcza kiedy mają wyjechać albo zrobić coś innego, co powinno być przyjemne. Zawsze wszystko psuje.

Albin demonstracyjnie wyjmując podręcznik do historii z plecaka, który przewiesił przez oparcie krzesła. Otwiera na rozdział, z którego w przyszłym tygodniu będą mieć sprawdzian. Marszczy czoło. Próbuje udawać, że jest zajęty analizowaniem taktyki spalonej ziemi, choć umie prawie wszystko na pamięć.

– Dobrze, że uczycie się o czasach imperium, akurat kiedy jesteśmy na Bałtyku – mówi mama.

Nie odpowiada. Postanowił, że będzie niedostępny, żeby ją ukarać. Bo to na nią jest najbardziej zły. Mogłaby wziąć rozwód i wtedy nie musieliby mieszkać z ojcem. Ale ona nie chce. Nawet wie dlaczego. Wydaje jej się, że potrzebuje męża.

Czasem Albin żałuje, że w ogóle go adoptowali. Byłoby mu lepiej w domu dziecka w Wietnamie. Może wówczas trafiłby w jakieś inne miejsce. Do jakiejś innej rodziny.

– Patrzcie, kogo spotkałem – oznajmia ojciec i Albin podnosi wzrok.

Ojciec trzyma w ręku kufel z piwem. Biała piana spływająca po ścianie dowodzi, że zdążył już wypić kilka łyków. Obok niego stoi ciotka Linda. Jej jasne rozpuszczone włosy spływają po pękatej kurtce różowej jak wypłuta guma do żucia. Ciotka pochyla się i przytula Albina. Czuje na twarzy jej zimny policzek.

Tylko gdzie jest Lo?

Zauważa ją dopiero, gdy Linda okrąża stół, żeby uściskać się z mamą. Słyszy, jak mama rzuca swój zwyczajowy żartobliwy tekst: „Wybacz, nie wstanę”. Linda śmieje się, jakby słyszała go po raz pierwszy. Świat wokół Lo rozmywa się, aż w końcu Albin widzi tylko ją.

To jest Lo, ale to nie jest Lo. W każdym razie nie ta Lo, którą on zna. Nie może oderwać od niej oczu. Rzęsy pomalowała tuszem, więc jej oczy stały się większe i jaśniejsze. Jej włosy urosły i pociemniały, mają teraz kolor miodu. Nogi w obcisłych dżinsach i trampkach we wzór skóry leoparda wydają się strasznie długie. Lo zdejmując szalik i skórzaną kurtkę. Pod spodem ma szary sweter, który zsunąwszy się z ramienia, odsłonił czarne ramiączko stanika.

Lo wygląda jak dziewczyny z jego szkoły, które nigdy w życiu nie powiedziałyby mu „cześć”.

To jest dużo gorsze niż nieporozumienie. Nieporozumienie dałoby się wyjaśnić.

– Cześć – mówi Albin niepewnie i słyszy, jak dziecinnie zabrzmiał jego głos.

– Zakuwasz, co za niespodzianka – odpowiada Lo.

Pachnie pralinkami i ciepłą wanilią, a gdy mówi, z jej ust wydobywa się słodki miętowy powiew gumy do żucia. Pospiesznie przytula Albina, a on czuje dotyk jej piersi. Ledwo ma odwagę na nią spojrzeć, kiedy znów się prostuje. Ale Lo zdążyła odwrócić swoją nową, dorosłą twarz. Wsuwa za ucho kosmyk włosów. Ma paznokcie pomalowane na czarno.

– Jak ty urośłaś – wzdycha mama. – Ślicznie wyglądasz.

– Dziękuję, ciociu. – Lo ściska jej dłoń znacznie dłużej niż Albinowi.

Mama pochyla się do przodu na wózek, żeby objąć Lo.

– Bardzo zeszczupłałaś – zauważa ojciec.

– Przecież rośnie – mówi matka.

– Mam nadzieję, że to tylko dlatego. Chłopaki wolą mieć za co złapać, wiesz.

Albin chciałby, żeby ojciec zamilkł, teraz, natychmiast.

– Dzięki, że mi to wyjaśniłeś – ripostuje Lo. – Celem mojego życia jest, żeby lubili mnie chłopcy.

Zapada cisza, o pół sekundy za długa, po której wszyscy wybuchają śmiechem.

Linda zaczyna swoją opowieść o tym, którą dokładnie drogą jechały z Eskilstuny i jak dokładnie wyglądał każdy metr ich podróży. Ojciec bez słowa pije piwo, za to mama próbuje za wszelką cenę udawać zainteresowanie opowieścią Lindy. Lo ostentacyjnie wywraca oczami i wyjmując telefon. Albin zerka na nią ukradkiem. W końcu Linda dochodzi do tego, jak szukała miejsca parkingowego blisko terminala, i wreszcie kończy.

– Na szczęście zdążyłyście – podsumowuje matka i zerka na ojca.

– Może powinniśmy stanąć w kolejce? – pyta ojciec, opróżnia kufel i stawia go na stoliku.

Linda podąża wzrokiem za kuflem. Albin wstaje, chowa pod rękawkę do historii i zakłada plecak.

Kolejka po drugiej stronie szklanej ściany puchnie i zaczyna posuwać się do przodu. Albin patrzy na zegar ścienny. Do wypłynięcia został tylko kwadrans. Ludzie przy stolikach obok również zaczynają zbierać swoje rzeczy, dopijają resztki napojów.

Matka zerka przez ramię i próbuje wycofać wózek, przepraszając na prawo i lewo. Kręci drążkiem kierowniczym na podłokietniku do przodu i do tyłu. Siedzący za nią muszą przesunąć swój stolik, żeby mogła wyjechać.

– Jakbym wyjeżdżała z zatoczki – żartuje, ale ma zduszony głos świadczący o zdenerwowaniu.

– Dasz radę? – pyta Lo.

– Tak, kochanie – odpowiada mama tym samym zduszonym głosem.

– Pewnie nie możesz się doczekać, kiedy już będziemy na promie? – mówi Linda i czochra Albinowi włosy.

– Tak.

– Dobrze, że chociaż ty. Myślałam, że będę musiała siłą wepchnąć Lo do samochodu, żeby ze mną pojechała.

Lo odwraca się do nich. Albin stara się nie pokazać po sobie, że zraniły go słowa Lindy. Czyli że wcale nie chciała się z nim spotkać.

– Nie chcesz płynąć?

– Nie no, skądże. Pływanie promem poleciłabym wszystkim. – Nawet nie mówi tak jak dawniej. Kolejny powiew gumy do żucia, kiedy wzdycha. – Nie pozwala mi nawet zostać samej w domu.

– Nie wracajmy do tego teraz, Lo – prosi Linda. – Cieszcie się, że chłopcy później dojrzewają. Zobaczycie, co was czeka – zwraca się do matki i ojca.

Lo znów wywraca oczami, ale na swój sposób wydaje się zadowolona.

– Niekoniecznie – mówi ojciec. – Dzieci są różne. Dużo zależy od tego, czy czują, że mają powody do buntu.

Linda nie komentuje, ale gdy ojciec się odwraca, kręci głową.

Przesuwają się w kierunku wyjścia. Mama jedzie pierwsza, kilka razy powtarza „tit-tit”, gdy stoliki stoją zbyt blisko siebie albo gdy drogę zastawiają torby podróżne. Albin odwraca wzrok. Patrzy przez szybę na stanowisko kontroli biletów, gdzie dwoje strażników badawczo przygląda się pasażerom przechodzącym przez bramki.

– Uznała, że może włożyć miniówkę. No cóż... – szepcze Lo stanowczo zbyt głośno, kiedy mijają dziewczynę z czymś różowym i puszystym wokół szyi.

– Lo – upomina ją ciotka Linda.

– Może będziemy mieć szczęście i prom zatonie, kiedy te dwie na niego wsiądą. Unikniemy koszmaru.

Mats Strandberg wie, jak się pisze thrillery. Gryzę
paznokcie. Płaczę i śmieję się. Już nigdy więcej nie
wsiądę na prom.

Åsa Larsson

Witamy na pokładzie „Baltic Charisma”.

Poznacie tu samotną starszą panią, której marzy się
przygoda życia. Przygasa gwiazdę estrady zatrudnioną
do prowadzenia wieczorów karaoke. Dawnego
pracownika promu, który chce się oświadczyć ukochanej
podczas rejsu. Przyjaciółki, które chcą zapomnieć
o codzienności i przebalować całą noc.

Prom od lat kursuje codziennie tą samą trasą po Bałtyku.
Gdy tylko wyjdzie z portu, personel otworzy bary,
zabrzęczą butelki i przez kolejną dobę pasażerowie będą
mogli zapomnieć o codziennym życiu i się wyszaleć.

Ten rejs jest jednak inny.

Na pokładzie czai się zło. Zło w czystej postaci. Zaczynają
ginąć ludzie. I łać się krew. W środku nocy, na środku
Morza Bałtyckiego, nie ma dokąd uciec. Nie da się
nawiązać połączenia z lądem. Śmierć nadchodzi
znieścacka. Zwykli ludzie stają się bohaterami, ale ta noc
może również wydobyć z nich to, co najgorsze.
Jeśli prom dotrze do Finlandii, świat już nigdy nie będzie
taki sam.

PATRONAT MEDIALNY



cena 39,90 zł

www.portalukryminalny.pl



POCISK
MAGAZYN LITERACJI I KRYMINALNY

